

Rząd przedstawił założenia do budżetu na 2011, które zostały przyjęte spokojnie przez komentatorów. Brakuje w nich jednak kluczowej liczby na którą poczekamy do września: wysokości deficytu. To milczenie obrazuje sposób zmagania się z sytuacją finansów kraju przez obecny rząd.

Postawmy się w roli ministra finansów i jego szefa. Pozytywna interpretacja ich już ponad półtorarocznego stanowiska brzmiałaby mniej więcej tak: nie możemy walczyć z kryzysem, obchodzimy go. Na tym polega nasz spryt, nasza mądrość. Nie walczymy z kryzysem, ponieważ jesteśmy zwolennikami klasycznej szkoły ekonomii i wiemy, że kryzys ma własną dynamikę, gospodarka po kilkunastu miesiącach spowolnienia odzyska samoczynnie punkt równowagi i się odbije, a metody którymi można by go zwalczać są zawodne i wiele kosztują. Dlatego kryzys obchodzimy, przeskakujemy, przedstawiamy opinii publicznej kolejne plany, których ona oczekuje (w sumie istnieje mediokracja), i ich nie wdrażamy. Wszak placebo czasem przynosi dobroczynny skutek. Korzystamy z działań innych krajów wydających pieniądze, a które napędzają popyt także u nas, i z tego, że ludzie chcą wierzyć, że jesteśmy fachowcami od gospodarki. Przejściowy spadek dochodów wyrównamy prywatyzacją (bo i tak nie popieramy własności państwowej). Głębszych zmian nie uda się wprowadzić bez kontrowersji zagrażających popularności.

W taką logikę wpisuje się zaprezentowany 29 stycznia 2010 plan konsolidacji i rozwoju finansów publicznych jak i działania ostatnich miesięcy. Plan nie zawiera żadnych kroków naprawiających finanse roku 2010 i 2011. Klucz planu znajduje się poza dokumentem, jest niewypowiedziany, to przesłanka co do wzrostu gospodarczego w latach 2011 i następnych rzędu 5-6%, skutkującego wzrostem wpływów podatkowych w stopniu pozwalającym na zmniejszenie deficytu i odejście od granicy 55%. To podwójnie ryzykowne założenie. Nie ma powodów, dla których wzrost miałby być tak wysoki, a po drugie dopiero po kilkunastu miesiącach dynamicznego rozwoju gospodarki powiększa się baza podatkowa i wpływy budżetu. Dlatego tzw. reguła wydatkowa polegająca na ograniczeniu wzrostu wydatków elastycznych do 1% powyżej inflacji, nie zahamuje narastania deficytu. Pojawi się bowiem 200-300 tys. bezrobotnych, niższe będą wpływy z dywidend i CIT.

Pozostaw to pole puste, jeśli jesteś człowiekiem:

Do powyższych czynników dochodzą działania polegające na wypychaniu problemów poza budżet, lub poza istniejące reguły prawne. Zadłużenie Krajowego Funduszu Drogowego sięgające 10-12 mld zł, zawierane przez ministerstwo finansów transakcje swapowe o

których pisał NIK, praktyka kontraktowania zakupów przez ministerstwo obrony z przesunięciem terminu zapłaty na za rok, lub dwa lata. Wszystkie te pozycje prędzej czy później ujawnią swój negatywny potencjał.

Z punktu widzenia krytyka można stwierdzić, że to nie pierwszy dowód na przedkładanie partii nad interes publiczny. W 2009 wstrzymywano przez trzy miesiące nowelizację budżetu, aby nie wysłać niepokojącego sygnału przed wyborami europejskimi. Zwolennik rządu powie, że nie sztuka wykonać trudną robotę, przegrać wybory i oddać naprawione finanse opozycji. Dlaczego mielibyśmy dokonywać zmian w emeryturach lub podnieść marginalne stawki PIT i ryzykować przegraną? Przecież poprzedni rząd także nie ryzykował rozwiązania problemu emerytur pomostowych gdy zbliżały się wybory.

W rezultacie, pakiet naprawy finansów podobny tego, co robią Węgry, Wielka Brytania, Niemcy będzie aplikowany dopiero w roku 2012 i będzie znacznie bardziej dolegliwy, bo stracimy półtora roku. Znośny przebieg kryzysu nie wymusza działań. Dlatego do pozytywnej narracji ministra finansów należy dopisać alternatywę: jeżeli strategia przeczekania się nie uda, to zostawimy niezły pasztet następcom.